

Rozalia Gnoińska-Trzęsawska

Wspomnienia przedwojennej gimnazjalistki

Przegląd Pruszkowski nr spec., 35-48

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ROZALIA GNOIŃSKA-TRZĘSOWSKA

Mała matura 1939, duża – 1943

WSPOMNIENIA PRZEDWOJENNEJ GIMNAZJALISTKI

Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne imienia Tomasza Zana w Pruszkowie w okresie międzywojennym cieszyło się doskonałą renomą. Panowała powszechna opinia, że zapewnia wysoki poziom nauczania, a jego absolwenci bez trudu zdają egzaminy na wyższe uczelnie. Ponadto chesne było tu kilkakrotnie niższe aniżeli w gimnazjach prywatnych. Dlatego wielu mieszkańców Pruszkowa, a także Piastowa, Ursusa, Brwinowa, Grodziska Mazowieckiego a nawet Żyrardowa mających dzieci w odpowiednim wieku pragnęło, aby się uczyły w tym gimnazjum. Jednak sprawa nie była prosta. Żeby się do tego gimnazjum dostać, trzeba było zdać egzamin wstępny, który uchodził za piekielnie trudny. Cóż zatem należało robić? Oczywiście zapewnić dziecku dobrego korepetytora, nawet gdy to dziecko w szóstej klasie szkoły powszechnej było piątkowym uczniem.

Tak też zrobiła moja mama. W pobliżu naszego domu znajdowała się fabryka fajansów, należąca do Ehrenreichów. Jurek Ehrenreich, który był w moim wieku, miał guwernera – pana Klimczyka. Był to nauczyciel, który wobec trudności ze znalezieniem pracy w zawodzie, podjął się guwernerki. Mama porozmawiała z panią Ehrenreichową, która oświadczyła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby pan Klimczyk popracował dodatkowo, udzielając mi korepetycji i że skieruje go do mamy.

Pan Klimczyk był doskonałym korepetytorem, przed egzaminem cały program szkoły powszechnej miałam w jednym palcu, mimo to trzęsłam się ze strachu. Wszyscy się trzęśli. Zdałam i zostałam przyjęta, Jurek Ehrenreich także.

Należy wspomnieć, że w czasie mojego pobytu w gimnazjum Zana szkoły średnie ulegały przekształceniu. Ośmioletnie gimnazjum przekształciło się w gimnazjum czteroletnie i dwuletnie liceum. Gdy rozpoczynałam naukę w pierwszej klasie, w szkole były jeszcze klasy siódma i ósma, które później zostały zastąpione przez pierwszą i drugą klasę liceum.

Z całego egzaminu wstępnego zapamiętałam tylko ustny egzamin z matematyki. Egzaminował mnie pan profesor Zdanowski, który później uczył nas fizyki. Był dobrym nauczycielem, ale uważał, że od chłopców należy więcej wymagać niż od dziewcząt (po cóż dziewczynom fizyka?). Byłyśmy z tego zadowolone, ale dziś byłby nazwany męskim szowinistą. Jego poglądy na sprawy płci ujawniły się już w czasie egzaminu wstępnego. Wziął do ręki moją pracę pisemną i powiedział ze zdziwieniem:

– Jako jedyna z dziewczynek dobrze rozwiązałaś zadanie. Ale dlaczego tak brzydko jest to napisane? Pokreślone ... – zganił. – Dziewczynki powinny pisać ładnie.

Potem profesor zadał mi pytanie:

– Jaką człowiek powinien mieć temperaturę ciała?

– Trzydzieści sześć i sześć – odpowiedziałam gładko.

– A co by się stało – zapytał profesor – gdyby człowiek miał temperaturę sto stopni?

– Upiekłby się.

– A gdyby go obłoczył lodem?

– To by się ugotował – odpowiedziałam bez namysłu.

I na tym egzamin zakończył się.

Cały egzamin wstępny przebiegł gładko, ale później nie było tak przyjemnie. Z ciepłej, życzliwej atmosfery panującej w szkole powszechnej imienia Żółkiewskiego trafiłam do gimnazjum, gdzie otoczenie było obce i nieprzyjazne. Panowała tu atmosfera odziedziczona po gimnazjach rosyjskich, choć był to już rok 1935. Nauczyciele wyznawali zasadę, że Pan Bóg umie na piątkę, nauczyciel na czwórkę, a uczeń zaledwie na trójkę. Najlepszym

stopniem, jaki można było dostać z klasówki, było „dość dobrze”, co odpowiadało czwórce z minusem. Był to stopień, jaki stawiał mi za wypracowania poczciwy profesor Januszewski, który nas uczył w pierwszej i drugiej klasie języka polskiego a także łaciny.

Atmosfera wśród uczniów też była niedobra i ciążyła mi bardziej niż surowość nauczycieli. Były wprawdzie grupki przyjaźniących się ze sobą koleżanek, które przyszły do gimnazjum z tej samej szkoły powszechnej, były gromadki trzymających sztamę chłopaków, ale ja nie miałam w klasie nikogo życzliwego. Z mojej szkoły przyszła ze mną tylko jedna koleżanka Basia B., usiadłyśmy w jednej ławce i myślałam, że będziemy się przyjaźnić, tymczasem Basia zaczęła się do mnie odnosić niechętnie, a później wręcz wrogo. Nie rozumiałam przyczyn tej wrogości, ale nie próbowałam ich dociekać, byłam przytłoczona panującą w klasie atmosferą, zgnębiona. Teraz myślę, że przyczyną wrogości był fakt, że znacznie lepiej radziłam sobie z nauką niż ona, a ona nie dawała rady. Nie skarżyła się jednak i nie prosiła o pomoc, a ja byłam pochłonięta własnymi kłopotami i nawet nie zauważyłam, że ma trudności. Nie zdała do następnej klasy i odeszła z gimnazjum Zana. Chyba przeniosła się do prywatnego gimnazjum w Warszawie. Tak robili prawie wszyscy uczniowie, którzy w gimnazjum Zana nie dostali promocji do następnej klasy, szli do prywatnego gimnazjum i tam byli dobrymi uczniami. Dlatego w naszym gimnazjum były dwie klasy pierwsze, obie bardzo liczne, ale klasa maturalna była tylko jedna i liczyła zaledwie kilkanaścioro uczniów.

Cała moja klasa odnosiła się do mnie obojętnie, a niektóre koleżanki wręcz pogardliwie. Byłam mała, niepozorna i niezbyt dbałam o swój wygląd. Kiedy w pierwszej klasie przed wystawieniem stopni z języka polskiego na świadectwach za pierwsze półrocze profesor Januszewski oświadczył, że tylko trzy osoby otrzymają czwórki czyli „dobry”, a pozostali będą mieli tróje i kazał zgadywać, kim są ci czwórkowi uczniowie, klasa bez trudu odgadła dwie osoby, ale nikt nie potrafił zgadnąć, kto jest tym trzecim.

A okazało się, że tą trzecią osobą byłam ja. Nie przysporzyło mi to popularności.

W drugiej klasie było już lepiej. Zyskałam przyjaciółkę, najwyższą dziewczynkę w klasie, Halszkę Cebertowicz. Tak zwykle było, że ja najmniejsza lub jedna z najmniejszych miałam najbliższą przyjaciółkę w najwyższej dziewczynce. Halszka traktowała mnie nieco protekcyjnie, ale hołubiła. Siedziałyśmy w jednej ławce i mogłam obserwować, jak Halszka na wszystkich lekcjach, gdy nie musiała pisać lub odpowiadać na pytania profesorów, rysowała, przeważnie główki kobiece. Po wojnie, chyba na początku lat pięćdziesiątych, widziałam jej obraz na jakiejś wystawie. Nasza przyjaźń nie trwała długo, bo już w następnym roku jej rodzina wyprowadziła się z Pruszkowa. Po wojnie ojciec Halszki był znanym profesorem Politechniki Gdańskiej, twórcą metody zeskalania gruntów.

W drugiej klasie zbliżyłam się także z innymi koleżankami: Teresą Przeszkodzińską, Nacią Gruszczyńską, której stryj był burmistrzem Pruszkowa i Henią Wardenówną, która była najlepszą uczennicą w klasie. Henia była zupełną sierotą wychowywaną przez ciotkę, mieszkała w Piastowie. Najdłużej przetrwała nasza przyjaźń z Teresą, bo aż do jej śmierci przed kilku laty. W czasie okupacji razem zakładałyśmy w Pruszkowie dziewczęcą drużynę „Szarych Szeregów”.

Należy wspomnieć, że w domu rodziców Naci Gruszczyńskiej w czasie okupacji odbywały się tajne koncerty, na które byli zapraszani wszyscy znajomi, między innymi koleżanki córek (Nacia miała trzy siostry). Na koncertach występowali muzycy, śpiewacy i aktorzy. Najczęściej przyjeżdżał niewidomy śpiewak Gruszczyński. Śpiewał pięknym barytonem, do dziś pamiętam wykonywaną przez niego z temperamentem arię Figara. Bywał znany aktor Wyrzykowski, a śpiewaczka Dobrowolska zaśpiewała na koncercie „Szturmówkę”. Chyba wszyscy zebrani usłyszeli ją wtedy po raz pierwszy, ale już po chwili wszyscy śpiewali refren:

*Bo dla naszej kompanii szturmowej
Nie ma przeszkód i nie ma złych dróg...*

Cały dom huczał. Dobrze, że stał w ogrodzie i był oddalony zarówno od sąsiadów jak i od ulicy.

Dyrektorem przedwojennego gimnazjum był matematyk pan Leon Ostrowski, który był „kandydatem nauk”. Jest to stopień naukowy nadawany przez rosyjskie wyższe uczelnie, odpowiadający naszemu stopniowi doktora. Pan Ostrowski był bez wątpienia wybitnym matematykiem, jednak jako dyrektor a także jako nauczyciel uważał, że należy się srożyć. W szkole panował rygor i bezwzględnie obowiązywały przepisowe stroje: granatowy mundur z tarczą z numerem szkoły na rękawie. Tarcza powinna być przyszyta, a nie, broń Boże, przypięta agrafką. W dni świąteczne dziewczęta powinny nosić do granatowych spódnic białe bluzki także z przyszytą lub wyhaftowaną tarczą. Obowiązywały też granatowe płaszcze i to zarówno zimowe jak i letnie. Dyrektor pilnie obserwował, czy uczniowie przestrzegają obowiązujących strojów. Gabinet dyrektora znajdował się na parterze i aby wejść do szkolnego budynku wszyscy uczniowie musieli przejść koło okna dyrektorskiego gabinetu. Bywało, że dyrektor stał w oknie, obserwował przechodzących i besztiał delikwenta, w którego stroju zauważył coś nieprawidłowego.

W szkole rygorystycznie przestrzegano punktualności. Furtka prowadząca na szkolny dziedziniec była zamykana na klucz kwadrans przed ósmą, kiedy to rozpoczynał się apel poranny i spóźnialski musiał długo czekać na ulicy zanim pod koniec pierwszej lekcji pan woźny furtkę otworzył. Zdarzało się czasem, choć rzadko, że koledzy z klasy mieszczącej się na parterze ulitowali się nad spóźnialskim i po apelu, ale jeszcze przed wejściem profesora spuszczaali za okno krzesło, po którym spóźnialski mógł się wspiąć do ich klasy, a potem chyłkiem przemknąć do swojej.



Profesor Jan Tomasiak – matematyk, fotografia z lat 1936-1939 (ze zbiorów Marii Znój-Znojewskiej).

Bardzo baliśmy się dyrektora Ostrowskiego. Gdy parę lat później opowiadałam o tym znajomemu, też Zaniakowi, ale starszemu ode mnie o lat kilkanaście, on pogardliwie wzruszył ramionami:

– Co tam Ostrowski – powiedział – nasz dyrektor Jakubowski to był naprawdę groźny... Wyglądał jak Mefistofeles i jak on był straszny.

Z dyrektorem Ostrowskim jako nauczycielem zetknęłam się dopiero w czwartej klasie, w pierwszej i drugiej matematyki uczył nas profesor Tomasik. Był najmłodszy z naszych profesorów i podobno pracując jako nauczyciel matematyki, studiował równocześnie na Politechnice. Uważał, że lepiej być inżynierem niż matematykiem.

Historii uczył nas profesor Warpechowski, był doskonałym nauczycielem, ale bardzo wymagającym. W pierwszej klasie lekcje historii wzbudzały lęk, bo wtedy uczniowie po raz pierwszy zetknęli się z dziejami starożytnymi, które w szkole powszechnej były całkowicie pomijane. Profesor Warpechowski wymagał na przykład, żeby uczniowie wskazywali na mapie poszczególne greckie miasta-państwa, a mapy starożytnego świata nie było w uczniowskim atlasie. Wielka mapa starożytnego świata była zawieszana w klasie tylko w czasie lekcji historii. Dlatego uczeń wywołany do odpowiedzi nie potrafił zadowolić profesora. Jednak w następnych klasach to się zmieniło i uczniowie raczej lubili lekcje historii, a ja je uwielbiałam.

Naszym wychowawcą w ciągu czterech lat gimnazjum był profesor Bohdan Zieliński, który uczył nas geografii. Była to charakterystyczna postać: pan ponad pięćdziesięcioletni ze szpakowatą bródką i wąsami oraz z monoklem w oku. Był typem gawędziarza. Jak wynikało z jego opowiadań wywodził się z kresowej szlachty, która straciła majątki w wyniku rewolucji bolszewickiej. Profesor Zieliński na lekcjach więcej czasu poświęcał sprawom wychowawczym i opowieściom niż geografii, której uczniowie powinni się uczyć, jak uważał, z podręcznika studiując wskazane przez niego rozdziały.

W czasie wojny ujawniły się talenty organizacyjne profesora Zielińskiego. To on zorganizował tajne komplety w Pruszkowie i przez cały okres okupacji im patronował. Na kompletach uczyli profesoremie z gimnazjum Zana, a także profesorowie, którzy znaleźli się w Pruszkowie w wyniku wysiedlenia przez Niemców oraz z powodu innych wojennych zdarzeń, na przykład pani Steffenowa, polonistka, profesor Biskupski, łacinnik, rubaszny ksiądz Wilhelmi.

Języka francuskiego uczył nas profesor Stefański, surowy, oschły i wymagający. Moja opinia pewnie nie jest obiektywna, bo był to jedyny profesor, którego szczerze nie lubiłam. Zresztą w ogóle nie był zbyt lubiany. Już na drugiej z kolei lekcji w pierwszej klasie zbeształ mnie za to, że nie zastosowałam się, jak uważał, do jego polecenia i nie wyćwiczyłam prawidłowej wymowy rodzajnika „le”. A ja od tej chwili przestałam się uczyć języka francuskiego i przez całe gimnazjum jechałam na dwójkach, z trudem wyciągając się na koniec każdego roku szkolnego na tróje.

Biologii uczyła nas profesor Jadwiga Hawryłkiewiczowa, absolwentka gimnazjum Zana, ładna, młoda pani. Drugą kobietą, która uczyła nas przez całe gimnazjum była gimnastyczka, której nazwisko niestety zapomniałam. Była szorstka i niezbyt sympatyczna. Prowadziła gimnastykę tylko z dziewczętami, bo gimnastykę chłopców prowadził profesor Skroczyński. W gronie profesorskim była jeszcze jedna kobieta, najważniejsza, ale o niej powiem później, gdyż zaczęła nas uczyć dopiero w trzeciej klasie.

Nauka rysunków i śpiewu nie była obowiązkowa, każdy mógł wybrać przedmiot, na który chciał uczęszczać. Obydwu uczył profesor Prusak, malarz-portrecista. Miał brzydką twarz o nieregularnych rysach, ale był niesłychanie sympatyczny.

Jeszcze jeden profesor uczył nas przez całe cztery lata, a mianowicie katecheta ksiądz Emilian Skrzecz. Był człowiekiem spokojnym, rzeczowym i pozbawionym fanatyzmu. Nie dawał się wciągać w żadne dysputy teologiczne a tym bardziej polityczne. Był to czas, gdy studenci na wyższych uczelniach urządzali bur-

dy, przeważnie antyżydowskie, czasem tak burzliwe, że musiała wkraczać policja. Pamiętam, jak rozgorączkowane dziewczęta opowiadały księdzu:

– Proszę księdza, proszę księdza! Policja na uniwersytecie aresztowała kleryka!

A ksiądz spokojnie odpowiadał:

– Dobrze mu tak, po co się miesza do nie swoich spraw.

Ksiądz z reguły na świadectwach stawiał piątki, ale swojego przedmiotu nie pozwalał lekceważyć. Niektórzy chłopcy próbowali to robić, a wtedy ksiądz mówił:

– Jeśli chcesz mieć dobry stopień z religii na cenzurze, musisz napisać referat.

I chłopcy pisali referaty, niekiedy nawet całkiem ciekawe.

Ksiądz Skrzecz był także moderatorem szkolnej Sodalicji Marińskiej, do której ja też należałam.

I to chyba wszyscy profesorowie, którzy uczyli nas w pierwszej i drugiej klasie gimnazjum (o profesorach Zdanowskim i Januszewskim wspominałam wcześniej). Trzeba jeszcze powiedzieć, że szkoła posiadała dobrze wyposażone pracownie: fizyczną i biologiczną a na ostatnim piętrze szkolnego budynku, na którym to piętrze znajdowała się moja klasa, sala rekreacyjna imitowała atrium rzymskie. Na ścianach były wymalowane marmurowe kolumny, a na suficie czworokątny otwór w dachu, przez który w domach rzymskich woda deszczowa spływała do znajdującego się pod nim basenu. Taki basen z błękitną wodą był wymalowany na podłodze sali. Na małej szafce stało popiersie Sokratesa. Było pięknie i żadnemu uczniowi nie przyszłoby do głowy cokolwiek tu zniszczyć lub pobrudzić.

W klasie trzeciej nastąpiły zmiany w gronie uczących nas profesorów. Profesora Januszewskiego zastąpiło dwoje profesorów: polonistka Stanisława Ostrowska i łacinnik Stanisław Moczulski, a matematyki uczył nas zamiast profesora Tomasika nowozatrudniony profesor Mustafa Gembicki, polski Tatar.

Profesor Ostrowska (prywatnie żona dyrektora) była świetną nauczycielką, to był prawdziwy talent pedagogiczny. Na jej lekcjach nie było odpytywania z przeczytanych lektur obowiązkowych, lecz były dyskusje na ich temat, często zażarte, wciągające coraz większą liczbę uczniów. Dyskusje były swobodne, pani profesor pozornie wcale nimi nie kierowała, ale na końcu dyskutanci dochodzili zwykle do akceptowanych przez nią wniosków. Wnioski te po zakończeniu dyskusji były krótko zapisywane w zeszytach. Były to bardzo ciekawe lekcje. Czasami zdarzały się też lekcje mniej ciekawe, ale niezwykle pożyteczne. Były to lekcje gramatyki. Dzięki tym lekcjom uczniowie pani Ostrowskiej nie mieli w dorosłym życiu problemów gramatycznych i kłopotów ze stawianiem przecinków.

Profesor Moczulski był rozkochany w kulturze starożytnego Rzymu i był bardzo wymagającym nauczycielem łaciny. Uczniowie musieli mieć wykute „na blachę” łacińskie deklinacje i koniugacje. Tłumaczyliśmy Juliusza Cezara, a w czwartej klasie Cycerona. Prawdopodobnie dzięki profesorowi Moczulskiemu sala rekreacyjna na ostatnim piętrze została przekształcona w piękne rzymskie atrium.

Interesującą postacią był profesor Mustafa Gembicki. To był matematyk, który mi odpowiadał. Nie srożył się i nie terroryzował uczniów, lecz spokojnie tłumaczył matematyczne zawiłości. Mogłam to docenić, bo siedziałam w pierwszej ławce. Gdybym siedziała dalej, nie byłabym w stanie śledzić jego wyjaśnień i tego, co pisze na tablicy, bo w klasie panował rozgwar z lekcji na lekcję coraz większy. Doszło do tego, że po klasie zaczęły latać papierowe gołębie. Uczniowie przyzwyczajeni do terroru nie potrafili docenić łagodności profesora. Poza tym był jeszcze jeden powód lekceważenia profesora przez uczniów. Profesor Gembicki zgodnie z programem uczył nas o funkcjach matematycznych, ale mówił nie funkcja lecz „funkcia”, uczniom wydawało się to bardzo śmieszne. Nie wiedzieli, że tak zmiękczały słowa Polacy z północno-wschodnich kresów. W czasie okupacji chodziłam do szkoły

handlowej stopnia licealnego, bo Niemcy zezwalali Polakom na naukę tylko w szkołach zawodowych. W szkole wykładali profesorowie z różnych stron Polski, którzy w czasie wojny znaleźli się w Warszawie. Naszą wychowawczynią była pani profesor, która zmiękczała słowa w znacznie większym stopniu niż profesor Gembicki, ale nikt się nie śmiał. Dziewczęta (była to żeńska szkoła) były starsze, a z powodu wojny szczególnie dojrzałe. Pamiętam, jak pani wicedyrektor zwróciła nam uwagę, że w brzydki sposób przekręcamy nazwisko koleżanki:

– Dlaczego nazywacie ją Ciołowską? Przecież ona nazywa się Czołowska.

– Naprawdę? – zdumiałymy się. – Myślałyśmy, że Ciołowska, bo nasza pani wychowawczyni tak ją nazywa, a ona nie prostuje.

Profesor Gembicki uczył w naszym gimnazjum tylko jeden rok, w następnym roku przyszedł do nas dyrektor Ostrowski. Był przeciwieństwem profesora Gembickiego. Na jego lekcjach panowała cisza jak makiem zasiał, a przed lekcją matematyki niektóre dziewczęta robiły znak krzyża, tak się bały. Było czego się bać, dyrektor Ostrowski był jak Dzeus Gromowładny. Na jego lekcji pół klasy wędrowało do tablicy, a po chwili wracało do swojej ławki, słysząc:

– Na miejsce! Nie masz pojęcia!

Kiedyś dyrektor napisał na tablicy równanie, z którego wynikało, że mrówka waży tyle, co słoń. Wiadomo, że to nie było możliwe, a więc musiał zostać popełniony błąd. Dyrektor zażądał, żeby uczeń wywołany do odpowiedzi wskazał, gdzie ten błąd tkwi. I znowu uczniowie wędrowali do tablicy i z powrotem, nie potrafiąc zadowolić dyrektora. Być może ze strachu przestawali myśleć. Ale mnie się udało, wskazałam palcem działanie, które wydało mi się podejrzanym. Odtąd dyrektor nabrał przekonania, że jestem dobrą matematyczką i zaczęłam się cieszyć jego względami. Ale do czasu... Pewnego dnia wywołana do odpowiedzi nie potrafiłam rozwiązać zadania i usłyszałam:

– Wracaj na miejsce! Nie masz pojęcia!

Nie byłam przyzwyczajona do takiego traktowania, usiadłam w ławce i zakręciły mi się łzy w oczach. Dyrektor to zauważył. Może nie miał złych intencji, ale podszedł do mnie i odezwał się grubiańsko:

– Co ty będziesz mi tu płacze wyprawiać?

Zerwałam się z ławki i zawołałam:

– Jeśli się panu dyrektorowi nie podoba, to mogę sobie pójść!

– I wybiegłam z klasy trzaskając drzwiami.

Zostawiłam w klasie teczkę z książkami i zeszytami, a w szatni płaszcz i pobiegłam do domu. Tam opowiedziałam mamie o całym zdarzeniu. Mama nie robiła mi wyrzutów, bo widziała, że jestem bardzo zdenerwowana, ale powiedziała:

– Wobec tego muszę pójść do szkoły po twój płaszcz i teczkę. Muszę także zobaczyć się z dyrektorem i przeprosić go za twoje zachowanie.

Gdy mama weszła do szkolnego budynku, spotkała na schodach profesora Zielińskiego, naszego wychowawcę. Okazało się, że zobaczył mamę przez okno i wyszedł jej na przeciw. Mama powiedziała mu, że chciałyby najpierw pójść do dyrektora i przeprosić go za zachowanie córki.

– Nie ma potrzeby – odrzekł. – Lepiej niech pani do niego nie chodzi. Jest trochę zdenerwowany. Proszę poczekać w pokoju nauczycielskim, ja zaraz poproszę którąś z koleżanek córki, żeby przyniosła jej teczkę z książkami i płaszcz..

Gdy mama po powrocie do domu opowiadała mi o wizycie w szkole, powiedziała:

– Nie rozumiem tylko, dlaczego profesor Zieliński wyglądał na rozbawionego, cały czas się śmiał.

Następnego dnia musiałam pójść do szkoły, nie mogło być mowy o pozostaniu w domu, mama by mi na to nie pozwoliła. W dodatku mama wymusiła na mnie obietnicę, że przeproszę dyrektora. Czekałam więc przed lekcją matematyki przy drzwiach klasy na wejście

dyrektora. Gdy wszedł, wydukałam formułkę przeprosin. Dyrektor coś mruknął w odpowiedzi, wyminął mnie i poszedł w kierunku profesorskiej katedry. Zastanawiałam się, co będzie dalej. Okazało się, że nic nie było, po prostu dla dyrektora przestałam istnieć. Już ani razu do końca roku nie wywołał mnie do odpowiedzi. Na świadectwie rocznym postawił mi trójkę. Byłam całkiem z tego zadowolona, w naszym gimnazjum był to normalny, przyzwoity stopień, tylko u profesora Gembickiego miałam czwórkę. Zresztą wybierałam się do liceum humanistycznego, więc stopień z matematyki nie był najważniejszy.

W czasie nauki na tajnych kompletach tylko raz spotkałam się z dyrektorem Ostrowskim. Matematyki na kompletach liceum humanistycznego uczyła profesor Budziszewska, a matematyka nie była przedmiotem egzaminu maturalnego. Jednak przed maturą musiałam odbyć rozmowę na temat nauk ścisłych z dyrektorem Ostrowskim. Rozmowa była bardzo przyjemna, dyrektor okazał się miłym panem, a rozmowa dotyczyła wszechświata, budowy atomu i innych tego rodzaju spraw, o których wtedy nie uczono w szkołach, a w szczególności w liceach humanistycznych. Jednak przed wojną wydawano dużo dobrych książek popularnonaukowych, a ja byłam ich zapaloną czytelniczką, mogłam więc popisać się swoją wiedzą.

Ostatni raz byłam w budynku gimnazjum w dniu wybuchu wojny, pierwszego września, na pośpiesznie zwołanej zbiórce harcerskiej. W mieście coraz to odzywało się wycie syren fabrycznych, ale większość mieszkańców Pruszkowa myślała, że to są próbne alarmy. Nie były to jednak próbne, lecz prawdziwe alarmy. W tym dniu spadła na Pruszków bomba i zginęli ludzie, między innymi uczeń naszego gimnazjum, kolega mojej siostry. To była jedyna bomba, jaka spadła na Pruszków w czasie całej wojny, jednak nie ominęły miasta inne wojenne nieszczęścia. [Koleżanka Dzidka, bo tak na nią mówimy, zapomniała, że w nocy z 16 na 17 stycznia 1945 roku bolszewicy zrzucili kilkanaście małych bomb na Pruszków – dwie blisko budynku naszej szkoły – I.H.]

Na zbiórce harcerki otrzymały polecenie odwiedzania rodzin z małymi dziećmi i wypisywania na kartkach metryczek dzieci (imię, nazwisko, data urodzenia, imiona rodziców, adres zamieszkania) i zawieszania tych kartek na szyjkach dzieci. Miało to zapobiec zagubieniu się dzieci w zamieszaniu wojennym. Matki witały nas ze zdziwieniem i niechętnie. Ta akcja mogła mieć sens w czasie pierwszej wojny, gdy rodziny bywały bardzo liczne, a rodzice często niepiśmienni, ale już nie w czasie drugiej wojny. Akcja szybko została odwołana, polecono natomiast, żeby harcerki pilnowały mostów i wiaduktów, które szpiedzy niemieccy mogą wysadzać w powietrze w celu utrudnienia ruchów polskich wojsk. Ta akcja też nie miała wiele sensu, bo cóż by mogła uczynić nastolatka, gdyby jakiś niemiecki sabotażysta usiłował wysadzić most. My jednak nie zdawałyśmy sobie sprawy z bezcelowości akcji i z zapalem dyżurowałyśmy przy wskazanych obiektach. Na szczęście nie zlecono nam dyżurów nocnych, a wrześniowe dni były piękne, ciepłe i słoneczne. Na zmianę z koleżanką pilnowałam jakiegoś bardzo mało ważnego mostu nad Utratą, położonego na uboczu, pośród łąk. I tam przeżyłam pierwszy wojenny strach. Usłyszałam wyjące z dala syreny i rozpoczął się nalot. Nie było gdzie się schować, dokoła płaska łąka i tylko nad rzeką rosło kilka krzaków. Usiłowałam się wtulić w największy krzak i wtedy nadleciał niemiecki myśliwiec, zatoczył łuk nad łąką, zniżył się tak, że zobaczyłam twarz pilota. I on mnie zobaczył, ale nie strzelił, choć mówiono, że niemieccy lotnicy potrafili posłać serię z karabinu w ludzi pracujących w polu. Po chwili alarm został odwołany, niemieckie samoloty odleciały.

Naloty się skończyły, gdy do Pruszkowa wkroczyli Niemcy. Zaczęła się długa i straszna okupacja.